

oryginał, nieautoryzowany

RELACJA p. Romualda RAUBO, nagrana 8.01.91 roku w Bydgoszczy
przez Tomasza Gleba

© ARCHIWUM WŚCHODNIE

Urodziłem się w Mejrach, powiat Lida, województwo nowogródzkie, w 1922 roku. Mieszkałem z rodzicami na gospodarstwie. Wstąpiłem do partyzantki w 1942 roku. Początkowo byłem u perucznika Krysia, a w 1943 roku przeszedłem do Penurego.

Kiedy w lipcu 1944 przyszli Rosjanie, zaczęły się łapanki. Przez trzy miesiące ukrywałem się w starym zamku w majątku Kowale. To był pusty zamek w ruinie. W nocy spałem z pistoletem pod głową.

Po trzech miesiącach nie było już dalej rady ukrywać się. Moja koleżanka, która pracowała na poczcie, załatwiła mi, że będę pracować na poczcie w Białogródzie. Ojciec przyjechał furmanką, zabrał mnie z zamku i przez lasy, okrężnymi drogami zawiózł mnie do Lidy. Tam na przekupiony naczelnik poczty na Lidę i okolice wydał mi - właściwie "na słowo" - dokumenty i skierował do pracy na stacji Białogródka jako pełniącego obowiązki naczelnika poczty.

Te były we wrześniu 1944 roku. Pracowałem do grudnia. 13 grudnia koło dwunastej w nocy ktoś zapukał do drzwi domu, gdzie mieszkałem (mieszkałem u gospodarza, koło stacji kolejowej). Gospodyni obudziła się: -Kto tam? - Otwierajcie. NKWD.

Przeszli się po mieszkaniu i od razu podchodzą do mego łóżka. Udaję, że śpię. Pytają, jak mam na nazwisko, podałem. Lejtnant popatrzył w swój zeszyt i mówi: Wstawajcie. Sabirajties'.

Nie wiedziałem, o co chodzi. Miałem dokumenty, że zwolniony jestem od wojska, bo pracuję na poczcie, tzw. bronirówkę. Ubrałem się, wychodzę - a tu cały dom otoczony. Prowadzą mnie na pocztę, jakieś pół kilometra. Kazali otworzyć, sprawdzili wszystkie szuflady. Pytali, czy mam jakieś rzeczy swoje, a lejtnant dosyć perządny był i mówi: Jak masz coś do jedzenia, to zabierz ze sobą.

Zamknęli pocztę, wyszliśmy i przez osiem kilometrów prowadzili nas - mnie i jeszcze jednego, nazwiska już nie pamiętam - do wsi Dalekie. Przeprowadzili nas do chałupy, która była już pełna aresztowanych.

- Po godzinie wezwano mnie do drugiego pokoju. Siedział tam oficer.
- Gdzie breń? - pyta - Gdzie pistolet?
 - Żadnego pistoletu nie mam, po co mi pistolet? Pracuję, w takie rzeczy się nie bawię - mówię.
 - My wiemy o was - mówi.

Krótkie przesłuchanie, zabrali dokumenty i do drugiego pokoju, a kiedy już nas się więcej zebrało, załadowali na ciężarówkę i zawieźli do Lidy do tymczasowego aresztu na ulicy Falkowskiego. Posadzili nas do piwnicy i trzymali do rana.

Rano wzięli mnie na przesłuchanie i zaczęło się. Nie przyznawałem się do niczego. Po krótkim przesłuchaniu znów wsadzili do piwnicy, a o godzinie dwunastej w dzień przyjechali ciężarówką, załadowali nas i zawieźli do więzienia na ulicy 3 Maja. To było więzienie śledcze.

Tam przez trzy dni bez przerwy prowadzili nas na przesłuchania. Rano zabierali i przesłuchiwali przez cały dzień. Cały czas nie przyznawałem się. Przez trzy miesiące tak mnie męczyli: straszili, bili, po twarzy, po plecach, kazali stać, kazali siedzieć - różnymi sposobami. Stale się nie przyznawałem.

Pewnego dnia przyprowadzają mnie na przesłuchanie:

- No jak, przyznajecie się czy nie?
- Nie, nie byłem w żadnej organizacji - mówię.
- A jak zrobimy konfrontację?
- Preszę bardzo - mówię.

Zawołał żołnierza, mówi: Przeprowadźcie. Patrzą - wchodzi dziewczyna,

znajoma, nazwisko jej mogę podać: Kucharewicz Genowefa.

- Znacie ją? - pyta śledczy.

- Znam - mówię, bo była z jednej miejscowości.

- A znacie jego - pyta się jej.

- Znam - znała mnie przecież od urodzenia.

- Opowiadajcie teraz.

No i ona zaczęła opowiadać: że widziała mnie, jak chodziłem z pistoletem, jak przyjeżdżało do mnie dowództwo, przyjeżdżał Penury, Osteja przyjeżdżał po śmierci Penurego, major Kotwicz-Ko^{a/e/}łankiewicz... Mówię, że nic podobnego, że ona kłamie.

- Przyznacie się - mówi śledczy - Jeszcze chwileczkę, a przyznacie się.

Kazał jej wyjść, a mnie zabrali z powrotem do więzienia. W więzieniu dalej nie przyznawałem się. Zaczęły się masowe aresztowania, wielu znajomych zostało aresztowanych, m.in. Makarczuk Józef, zasądzony na karę śmierci.

Po czterech miesiącach wzywają mnie na przesłuchanie, w nocy. Kazał siadać, siadam. Przyprowadzają mojego kolegę, który był dowódcą placówki w konspiracji. Patrzą - zakrwawiony, zęby powybijane, oczy powybijane. Nazywał się Szmigiero Witold.

- Znasz go? - pyta się mnie śledczy.

- Znam.

- A ty go znasz? - pyta się tamtego.

- Znam.

- No to opowiadaj.

I on zaczął mówić: Romek, przyznaj się, nie ma celu, widzisz, jak ja wyglądam, przecież już nie mamy ratunku... Co miałem powiedzieć?... Nic nie powiedziałem...

Jego wyprowadzili, a do mnie: No i po co tyle zawracałeś głowę? Byłeś jego podwładnym, on ciebie poznaje. I wtedy dałem spokój, i mnie już więcej nie ruszali, prokurator zamknął sprawę.

Siedziałem do maja. W maju 1945 roku wysłali mnie na rozprawę. Przeprowadzili mnie jednego do sali w domu przy ulicy Syrekemli. Patrząc - siedzi trzech oficerów i jedna kobieta, sekretarka. Czytają akt oskarżenia. Wysłuchałem.

- Co masz do powiedzenia?

- Nic nie mam do powiedzenia.

- Ale jaka wasza ostatnia wola?

- Zabierzcie mnie do wojska polskiego - mówię, bo w tym czasie brali do polskiego wojska.

- Takich nie potrzebujemy.

Wstał major i zaczął czytać: "Taki a taki, skazujemy was na 10 lat obozów za przynależność do Armii Krajowej i 5 lat zesłania oraz konfiskatę całego mienia". Przeczytali wyrok, a ja uśmiechnąłem się z tego wszystkiego, bo człowiek nie wierzył, że to się dalej tak potoczy. A jeden z tych siedzących mówi po rosyjsku: Dlaczego się śmiejesz? ^{Sidor kóz nie pasie, gdzie} My cię tam zawieziemy, gdzie słońce nie świeci i tylko wiatr wieje.

I dotrzymali słowa...

Kiedy siedziałem na Syrekemli, przyszedł jeden z ochrony więziennej i pyta się, kto zna się na naprawie rowerów. Podniosłem rękę, że ja się znam. No to chodźcie. Zaprowadził mnie na strych budynku, - ale sam nie wchodził, stał na schodach. Było tam dużo rowerów, zepsutych i w dobrym stanie. Rezejrzałem się po strychu - a w kącie leżały zakrwawione polskie mundury, czapki i płaszcze wojskowe. To było we krwi. Nawet chciałem jedną czapkę wziąć...

Więźniowie pokazywali mi mur więzienny: Tu, pod tym murem rozstrzelali partyzantów. Też w tym czasie na rynku w Lidzie powiesili człowieka, nazwiska nie pamiętam, pseudonim "Mucha".

Na początku czerwca 1945 załadowali nas na pociąg i przewieźli do Orszy. Były tam wojskowe koszary przerobione w punkt przerzutowy. Mnóstwo ludzi, na sali było nas 200 osób. Spaliśmy jak

śledzie. Trzymali nas trzy dni. Nie dawali jeść ani pić. Potem załadowali na pociąg i przewieźli do portu Mołotowsk nad Morzem Białym. Załadowali nas na okręt. Przez 13 dni płynęliśmy do portu Dudzinka. Kiedy statek przepływał między krzami, słyszeliśmy burczenie, takie "brrrrrrrr...". Wszystko trzeszczało.

Dawali nam śledzie i słone kiliki. Po 4-5 dniach widocznie zabrakło słodkiej wody - zaczęli dawać morską. Jest gorzka. Jak zaczęła się rewolucja... Początkowo załatwialiśmy się do beczki, ale potem widocznie znudziło się wszystkim wynoszenie jej, bo każdy gdzie stał... Smród, fetor! Zanim dopłynęliśmy do Dudzinki, ludzkiego łajna było po kostki!...

Bardzo dużo ludzi umarło. Zabierano ich. Myślę, że wrzucano do morza. Nie wierzę, żeby wieźli ich do Dudzinki.

Ja miałem szczęście - też miałem dyzenterię, ale lżej ją przeszedłem. Uratował mi życie Rosjanin i Uzbek. Razem siedzieliśmy w Lidzie i razem płynęliśmy. Jeszcze w Lidzie jak dostałem paczkę od rodziców, to dzieliłem się z nimi. Byli jeńcami w Niemczech. Zostali przeszkoleni przez Niemców i zrzućeni na spadochronach koło Lidy jako szpiedzy. Złapano ich. Oni mówili mi: Nie pij tej wody! Jak już nie możesz wytrzymać, to skombinujemy ci... Umieli się obchodzić z błatymi, przynosili mi trochę kawy.

W Dudzince trzymali nas trzy dni. Było tam zbudowane coś w rodzaju baraku, ale tylko dach, bez ścian. Kazali nam ładować okręt. Nosiliśmy po trapie nikłowe płyty po 50 kilogramów. Po trzech dniach załadowali nas na pociąg, na otwarte platformy i cały dzień wieźli do Norylska. Tory były położone na lodzie, bo tam była dopiero wczesna wiosna, wszystko jeszcze było zamrożone.

Wyładowali nas. Był tam tylko jeden stary barak, też bez ścian. Powiedzieli nam: Tutaj będziecie mieszkać. Zorganizowali nam jakąś

zupę, ale nie było czym jej brać. Znalazłem jakąś puszkę, umyłem w strumyku. Dookoła stały strażę, ale wieżyczek jeszcze nie było ani drutów. Nie było nazwy.

Zaczęli segregować nas do obozów. Wybierali nas Rosjanie, którzy byli już więźniami. Pytali się: Co ty umiesz? Dobierali do brygad.

Trafiłem do obozu nr. 5. niedaleko obozu nr. 25. W piątce byli jeszcze i mężczyźni, i kobiety, potem był to obóz tylko kobiecy. Był to GORŁAG. Trafiłem do brygady ZNK, jak nazywali - cech metalo-kenstrukcji. Rebili tam stalowe konstrukcje na budowę mostów, hut itd. Pracowałem przy produkcji elektrod. Nie miałem o tym pojęcia, ale był taki Żyd Łanda i Ukrainiec Iwan Aksientewicz Bender, nie zapamiętam go do śmierci, bardzo porządny gość. On odsiedział chyba 15 lat i jeszcze mu rok zostało, a Łanda został już zwolniony. On był naczelnikiem tego cechu. Bender spytał mnie, kiedy przyszedłem do pracy, jak moje nazwisko, jak imię. Odpowiedziałem, ale oni nazwali mnie nie Romuald, ale Romik.

- A co ty umiesz? - pyta.

- Jak to "co umiesz", wszystko umiem!

- Te będziesz przy elektrodach. Chcesz?

- Dlaczego nie.

Byłem zadewolony, bo praca w cieple, pod dachem, nie będę na ogólnych robotach. Szło mi to dobrze. Do produkcji elektrod używane krochmalu i zawsze można było trochę tego krochmalu ukrąść. Gotowało się to, kiedy nikogo nie było, na piecu, gdzie wyżarzały się składniki do produkcji elektrod. Temperatura była ogromna, wszystko czerwone. Gotowało się w garnuszku, nie było soli, trzeba było bez soli, ale człowiek trochę tej galaretki zjadł, trochę miał w żołądku...

Miałem kożuch. Przewiozłem go dzięki temu Rosjaninowi i Uzbekowi. Nie pozwolili mi go odebrać. Potem już się za nich modliłem... Powiesiłem ten kożuch, przyszedłem po pracy ubrać się - a tu nie ma, skradli. ~~Ale~~ Ale to byli swoi, bandytów już nie było.

Przy elektrodach pracowałem z pół roku. Przychodzę któregoś dnia z pracy, zjadam kaszę, siedzę na pryczy - przychodzi dwóch nadzircieli, nadzorców.

- Raube, jest taki - pytają.

- Jestem.- mówię, a jeszcze puszka z jedzeniem obok mnie stoi.

- No co, pakuszał? - mówi jeden do mnie.

- No, trochę się najadłem.

- To będziesz miał siłę do ucieczki... Zabieraj się z rzeczami.

Powiedzieli, że planują ucieczkę i zabrali do innego obozu, do obozu nr.6.

O ucieczce nawet marzenia nie było. Przecież do pierwszej stacji było coś 2000 kilometrów... Owszem, były ucieczki, ale nigdy się nie powiodły. Raz kilku uciekło i koledzy kolegów zjedli. Trzech złapali i przyprowadzili przed wszystkich więźniów, powiedzieli: "Patrzcie, oni uciekali. Co z nimi teraz jest?" Wycieńczeni byli, tylko oczy im błyszczały. Skóra i kości. Było to chyba w 1946 roku. Co się stało z tymi trzema, których złapano, nie wiem. Słyszałem tylko, że te, co odsiedzieli anulowane im i musieli wyrok odbywać od początku.

Dalej pracowałem w cechu metalo-kenstrukcji, ale powiedziano mi, że organizuje się kurs suwnicowych i przeszedłem na ten kurs. Szło mi bardzo dobrze. Suwnicowym byłem chyba pół roku. Byłem zadowolony, bo człowiek sobie częste kimnął... Dali mi do przeszkolenia Rosjankę, młodą dziewczynę. Nie miałem do niej żadnych uczuć ani nic, młody chłopak byłem, to młody, ale człowiek chleba chciał, a nie kebity. Ale był Rosjanin młody i on mówi: oooo, ale tobie się tam dobrze powodzi! Dziewuchę masz! Ja się uśmiechnąłem i mówię: No widzisz, mam dziewczuchę, już jeździ!

Ale po trzech dniach przychodzą po mnie do baraku: "Zabieraj się z rzeczami! Mało ci? - znowu chcesz uciekać?" I wpisali mnie do śniegomaszyny, czyli odśnieżania. To był już 1947 rok.

Wzięli mnie do śniegozaszczyty, a tam piekło. Góry śniegu były jak blok, może wyższe. Trzeba było ustawiać zapory z desek. Po zamieci śnieżnej - nie widać nawet takiej zapory, trzeba znów odkopywać... Człowiek przychodził z pracy tak zmęczony, że nie chciało się ani jeść, ani pić. Doprowadzili mnie do tego, że nie mogłem chodzić.

Była komisja dla takich jak ja (nazywano nas dochadiagi). Poszedłem na tę komisję - wzięli mnie za tyłek, zobaczyli, że nie mam już nic mięsa. Przenieśli mnie do trzeciego łag-oddzielenia i wzięli do tzw. OP, czyli brygady "otdycha", brygady rehabilitacyjnej. Pracowałem w przychodni jako salowy. Miałem tam trochę znajomych lekarzy, pracował tam m.in. doktor Mattoszko, który dużo pomagał Polakom. W przychodni pracowałem trzy miesiące.

Potem przenieśli mnie na Gerstroj, do brygady stolarzy. To był koniec 1947 roku. Zobaczyłem, że nie ma ratunku, że znów mogę nie wytrzymać, i zapisałem się na kurs tynkarzy. Szkolili nas przez trzy miesiące - uczyli malować, tynkować. Po skończeniu kursu dali nas do budowy baraków, ale dwupiętrowych, w trzecim łag-oddzieleniu. To były baraki dla więźniów, obozowe. Robiono szalunek i wlewano tam beton, żużel. Byłem tam do 1948 roku.

W 1948 roku zaczęto przeprowadzać segregację: oddzielano politycznych od bandytów. Początkowo miałem numer 102416, a teraz już dostałem numer politycznych: N-465. Przerzucili mnie do obozu nr. 10 na Ugólnyj Ruczaj, koło góry Szmidta. Była tam kopalnia węgla. Dali mnie do magazynu, gdzie były części parowozów, lokomotyw, wagonów itd. Byłem tam takim "przynies-podaj-pozamiataj", a Słazek Maculewicz też był w tym obozie, ale on chodził do biura, gdzie pracował jako introligator. W tym łag-oddzieleniu byłem z pół roku, potem przerzucili mnie do obozu nr. 9, na Kiszerodnyj Zawod, gdzie produkowali tlen. Tlen robili w stanie ciekłym i w stanie gazowym, i ładowali do butli. Ale ja nie pracowałem przy tej produkcji, tylko znów przy odśnieżaniu i przy innych ogólnych pracach - czasem układaliśmy

kamienie, żeby woda nie zalała kopalni. Kopalnia znajdowała się w ogromnej niecce i my budowaliśmy ogromne zatory z kamieni, żeby ~~wodę~~ spływającą ~~wodę~~ na wiosną wodę skierować gdzie indziej.

Tam byłem do zimy 1949 roku, aż pewnej nocy, o dwunastej, zrobili alarm i kazali każdemu wychodzić z rzeczami. Wyprowadzili nas na duży plac, pamiętam - księżyc świecił duży, zorza polarna... Zaczęli segregować nas brygadami. Mróz, a oni - pierwaja piatorka... wtaraja... Jak sobie wtedy przypomniałem, jak czytałem książkę "Szlakiem na Sybir" - aż mnie dreszcz przeszedł. Poprowadzili nas na Miedwieżkę, ze 4 kilometry. Ale jaki numer miał ten nowy obóz? Czy to była trzymastka? Ale przecież byłem też w siódmym łag-otdielenju, gdzieś przeskoczyliśmy...

Na Miedwieżce byłem na ogólnych pracach - układanie torów, różne inne prace. Ale miałem tyle szczęścia, że Stasiak Maculewicz dalej pracował jako introligator w biurze. Dyrektorem kopalni na Miedwieżce był Tatar Szagin Achmietow, bardzo porządny gość. I Stasiak Maculewicz poprosił go, żeby dał mnie lżejszą pracę. I pewnego dnia przychodzi do baraku nariadczyk i mówi: Raubo, jutro idziecie do brygady hostiaszti. To była brygada gospodarcza - byli tam sprzątacze itp. Ale pójdziecie - ~~xx~~ - mówi - na rudnik Miedwieżyj Ruczaj, do biura, tam będziecie pracować.

Poszedłem tam, a brygadziasta mówi mi: Idź do biura i tam czekaj. Tam potem dadzą ci pracę. Siedzę tam, czekam, piec się pali. Patrzę - wbiega ktoś, ale nie wiem kto, w okularach, przystojny. Pyta się, jak się nazywam. Mówię, że Raubo. - A wy szto zdies' ? - Kazali mi tu czekać. - Aaa, to siedźcie ~~xx~~ tu i czekajcie. Poszedł, przyszedł jego sekretarz. Spytał o nazwisko i mówi: Będziecie tu sprzątać, piec napalicie, zamieść trzeba, posprzątać biurke... Znowuż miałem szczęście.

Tam byłem do 1951 roku. Dyrektor kopalni bardzo mnie polubił, nie wiem dlaczego. Czasem robił takie rzeczy - sprzątam biurke, a pod biurkiem leży sto rubli. Sto rubli żeby tak sobie leżało pod biurkiem?

Położyłem je na biurku. Rano przychodzi dyrektor, więc mówię:

- Obywatelu naczelniku, tu jakieś pieniądze były pod biurkiem, tu położyłem.

- Czyżby? - mówi.

- Tak. Tu leżą.

- Dziękuję, dziękuję.

Tak kilka razy mnie próbował, ale potem, kiedy zobaczył, że wszystko w porządku, to i biurka zapominał zamknąć, zostawiał papiery, pieniądze. A gdzie te były do pomyślenia, żeby więzień miał dostęp do dokumentów, i to jeszcze w kopalni?...

Ale pewnego razu stoję w sekretariacie - wpada oper upełnomocny. Akurat kobiety, które tam pracowały, bardzo perządne, coś opowiadały, a ja się śmiałem. On popatrzył na mnie:

- Uuu - mówi - tobie tutaj bardzo wesoło!

No, myślę, koniec, znowu lecę... Nie trwało dwa dni, a już byłem na ogólnych pracach! Dyrektor kopalni dowiedział się o tym - a to był dyrektor "trietiewo ranga", szycha! - przyjechał do obozu i ja, jak mi potem opowiadał, rozmawiał z naczelnikiem. Miał nieprzyjemności, bo powiedziano mu: "Co wy, chcecie bandytów chronić?". No i nie dało rady...

Dano mnie znowu do odśnieżania torów. Znowu miałem piekło. Trwało to pół roku. Na moje szczęście, oper upełnomocny jadąc sanochodem złamał sobie nogę. Jak on się odszedł - kierownik kopalni zabrał mnie z powrotem. - Ale teraz - mówi - już nie będziesz u mnie w biurze, idź do zaopatrzenia, tam będzie ci lepiej.

Zacząłem pracować w zaopatrzeniu, w kartotece. Prowadziłem ewidencję materiałów dla kopalni, odzieży. Pracowałem tam aż do wyjścia na wolność we wrześniu 1954 roku.

Pracowałem razem z Ukraińcami, byłem jedynym Polakiem. To były bardzo porządne chłopaki, bardzo dobrze się do mnie odnosili. Byli przeważnie z banderowców, z Tryzuba. Niektórzy narzekali na Ukraińców, bili się z nimi, były zatargi, np. Józef Auksztulewicz - pobili go Ukraińcy mocno, Szwedowicz też dostał lanie, mało ich nie pozabijali. Były też i gwałty i morderstwa, jeden Polak, nie pamiętam nazwiska, powiesił się. To było na Miedwieżce. Jednego młodego Rosjanina - bardzo ładnie grał na harmonii, w orkiestrze - strażnicy kazali mu wyjść pod obóz i zastrzelili go. Powiedzieli, że chciał uciekać. Gdzie ten chłopak chciał uciekać? Po prostu go zastrzelili... Nie podobał im się.

Pewnego dnia w czerwcu 1953 roku wychodzimy rano do pracy, orkiestra gra - z przodu konwój, z tyłu konwój, płakać się chce, ale orkiestra gra, wesoło musi być! - a między więźniami mówi się, że jakiś strajk ma być. Ale kto tam przypuszczał, że coś takiego może wybuchnąć... Chociaż już wcześniej było między więźniami mówione, że domagają się, żeby nam numery zdjąć, kraty zdjąć z baraków, żeby nie zamykano baraków na noc. Było takie szemranie, wrzenie. Zanosilo się na coś.

Przyszliśmy z obozu do kopalni, poszedłem do magazynu, gdzie pracowałem. Przyszedł jakiś Ukraińiec z drugiej brygady i mówi: "Strajk się organizuje. Musimy iść do obozu." Ale potem przyszedł jakiś Rosjanin i mówi: "Dzisiaj nie idziemy do obozu!" Zaraz przyszli do mnie do magazynu, zażądali żeby im dać czarnej krepy, zrobili chorągiew, wywiesili na magazynie. Zrobiła się grupa organizatorów. Byli to Rosjanie, Polaków nie było.

Byłem trochę zdziwiony wybuchem buntu, bo wtedy właśnie trochę się rozluźniło - człowiek mógł już coś powiedzieć i nie leciał do karceru, wyczuwało się odwilż... Zastanawiałem się, jak mam postąpić. Zostało mi do końca wyroku tylko półtora roku. Czy wyłamać się? Jak się wyłamię, to niedobrze względem kolegów. Jak nie - niedobrze względem władz: mogą mi wyrok przedłużyć albo co? Człowiek różnie myślał...

Zbliżał się okres zwolnień dla aresztowanych w 1945 czy 1944 roku. Było sporo takich osób. Oni już debijali do końca! Rozmawialiśmy na ten temat w gronie Polaków, było nas w tym obozie około 200 -tu. Z jednej strony byliśmy solidarnie "za", a z drugiej strony - baliśmy się. Bo jak mamy postąpić? ... Ale decyzja o strajku była przyjęta jednogłośnie.

Kiedy wybuchł bunt, część więźniów została w obozie a zmiana, która przyszła do pracy, została w kopalni. I tak: ci, co zostali w obozie nie przychodzili do pracy, a ci, co zostali w kopalni, nie wracali do obozu. Na Miedwieźce w kopalni było około 2 tysięcy osób, w obozie więcej niż 4 tysiące, chyba około 5 tysięcy osób.

Wszyscy solidarnie zostali na terenie kopalni, nikt się nie wyłamał. Ale nie ma co jeść! Jeśli chodzi o mnie i Ukraińców pracujących w magazynie to nasz kierownik, już wolny, Ukrainiec Studziński przynosił nam w kieszeni - niby sobie - kanapki i nam zostawiał. Do biura, do księgowości też przychodzili chłopaki, przynosili nam puszkę czy coś. Pozostałym początkowo przywożono chleb i dawano na granicy kopalni. Miałem dobrze, bo spałem w magazynie i nawet jeszcze kolegów przyjmowałem na nocleg.

Kopalnia była cały czas obstawiona. Wzmocniona straż, psy, więcej wojska i NKWD. Dookoła obozu ustawili megafony. Obiecanek nie dawali. Grozili, że nas postrzelają. Na to w obozie więźniowie zaczęli niszczyć płoty, przegrody, wszystko poszło na żywioł. Kapusie dostali strachu, uciekali za obóz, przychodzili na wartownię. Wiedzieli, że mogą pourywać im głowy. Grozili: "Nie słuchajcie przywódców, oni wam tylko chcą nie-szczęście sprowadzić."

Wśród więźniów była powołana straż i ustalono okresy warty przy maszynach żeby nie było jakiejś prowokacji, zniszczenia maszyn. Dyscyplina była duża. Co powiedzieli przywódcy, to wszystko się robiło. Na przykład trzeba było czerwonego materiału, to był czerwony materiał,

a trzeba czarny - był czarny. Wywieszali chorągwie i napisy różne, bardzo dużo, np. "Precz z terrorem". Napisy były w języku rosyjskim.

W czasie buntu w tej grupie, która była w kopalni samosądów na kapusiach nie było, ale w obozie były. Opowiadano, że jednego kilofem zabito. Wśród tych Polaków, z którymi byłem na Miedwieżce, szpicli nie było. Przed buntem było bardzo dużo zabójstw kapusiów. Jak za mną szedł kolega z kilofem, to bałem się, cholera, czy nie rąbnie mnie w łeb! Człowiek miał czyste serce i czyste ręce, ale bał się i nawet kolega koledze nie wierzył. A byli przecież jeszcze między nami Ukraińcy, Litwini, Łotysze... Szczególnie dużo było tych mordów w piątym łagotdielenju, można było na setki liczyć. Sam widziałem, jak szpicel przez okno z drugiego piętra wyskoczył, poleciał na portiernię do strażników i zwiął.

Bunt organizowano wewnątrz obozu. Organizowali przede wszystkim Rosjanie. Siedzieli tam przecież komisarze, lekarze, inżynierowie - masa wykształconych, 20-25-letnich ludzi. Był też na przykład Żyd Lewin, bardzo porządny gość - siedział 20 lat, a był głównym inżynierem kopalni!

Ale teraz uważam, że tak naprawdę to bunt organizowany był na zewnątrz, przez wolnonajemnych Rosjan. Niektórzy z nich byli dawniej w obozie, a teraz na zesłaniu. Oni przynosili wiadomości, pomagali z jedzeniem. Wiedzieli, że jest bunt, bo chociaż do obozu ich nie wpuszczali, ale na kopalnię przychodzili. Byli solidarni z buntem. Ci z którymi ja się stykałem byli nastawieni do nas bardzo przychylnie, solidarni z buntem.

Przez nich były jakieś kontakty z innymi obozami a nawet kontakty przez telefon. Pamiętam, że przychodzili do mnie i mówili, że mam wykręcić numer telefonu jakiegoś tam zakładu. Początkowo były jakieś rozmowy, ale potem zablokowano centralę i rozmowy odcięto. Rozmawiał jeden z przywódców, najgłówniejszy to był Gruzin, ale jak jego nazwis-

ko ?... Z kim rozmawiał, to mi tego nie powiedział. To była taka półprywatna rozmowa. I była tylko jeden raz. Dzwoniła też na przykład do mnie obecna żona Micki. Ona była w kobiecym obozie - chłopaki mieli tam dziewczyny - dzwoniła do mnie niby służbowo, a przekazywała wiadomości dla chłopaków.

Wolnonajemni kierowcy przewozili różne potajemne listy między Rosjanami w czasie buntu. Chociaż NKWD wolnych też kontrolowało, rewizję nawet robili, ale mimo wszystko oni przemycali. To przeważnie byli dawni więźniowie. Pamiętam Warpachowskiego, polskiego pochodzenia, on też przewosił. Wtedy był już na wolności, pracował w biurze. On nie wrócił do Polski, bo był z zesłania jeszcze z powstania styczniowego. Ukraińcy między sobą też przewozili różne listy. Ale nikt nie ujawniał tego, bo się każdy bał. Każdy liczył się przede wszystkim z tym, że mogą być z tego jakieś konsekwencje.

Wiedzieliśmy, że w tym obozie strajkują i w tym obozie strajkują, tam rozstrzelali, tam zabili. Podawano te wiadomości z ust do ust. Byli tacy, którzy mieli funkcję takiego informowania innych. Przywódcy to już ustalili, że wy macie to robić, a wy to - tak to było zorganizowane. We wszystkich obozach był wtedy strajk. Wieści o tym, że w tym i tym obozie wybuchł strajk podbudowywały, śmiałość zaraz była, energia.

Kiedy dochodziły wieści o pacyfikacji, np. doszła informacja, że w 25-tym postrzelali katorżników, to ludzie nie przejmowali się tym, byli całkowicie zdecydowani. Żądano przyjazdu komisji z Moskwy. Najpierw przyjeżdżali z kombinatu norylskiego - naczelnik Zwierow z asystą. Legitymowali ich i nie chcieli z nimi rozmawiać. Żądali, żeby przyjechała komisja z Moskwy. Potem Komisja z Moskwy przyjechała. Była trzy razy. Ja nie widziałem, ale prowadzący podobno rozmawiali z kimś z Moskwy. Komisja była trzy razy. Za trzecim razem

obiecali spełnić żądania, ale my jeszcze nie wychodziliśmy do obozu.

Potem był spokój. Po dwóch tygodniach zaczęli nas dzielić. Przyjechało wojsko i przegradzało nas kordonem - na pół, i jeszcze raz na pół. Z jednej części kopalni do drugiej już nie można było przejść. Porobili zamknięte kordonem strefy. Odizolowali też przywódców. Zaczęli wywoływać przez megafony: "Kto ma sześć miesięcy do końca wyroku - wychodźcie! Idźcie prosto na żołnierzy, nie będą do was strzelać!" I ludzie zaczęli wychodzić. Konwój zabierał taką grupę i zabierał na Miedwieżkę do obozu. Tam stała grupa ludzi "zaufanych" czyli szpicle i ci mówili - ten prowodyr na prawo, ci na lewo. Prowodyrów zabrali, resztę zaprowadzili do obozu. W obozie trwał jeszcze bunt.

Potem zaczęli wywoływać tych, co mają rok do końca wyroku, a potem tych, co mają półtora roku. Wtedy powiedzieliśmy z kolegami: "Nie ma sensu dalej... Idziemy". Zostawiliśmy magazyn, wyszliśmy prosto na konwój. Zaraz nas okrążyli, policzyli i pod karabinami - do obozu.

Przyszliśmy pod bramę do obozu pod wieczór i zaczęli nas segregować. Ja nie zostałem zaliczony do prowodyrów i trafiłem do obozu, ale jacyś Polacy trafili do tej grupy.

Z obozu nie wypuszczali nas do pracy przez 2-3 dni. Nadal były wzmocnione straże, ale wszyscy już chyba wiedzieli, że jest po wszystkim. Jaki można było stawiać opór z gołymi rękami?... Nie było sensu. Zresztą nawet dla własnego interesu... Człowiek bał się.

Bunt zaczął się na początku czerwca i skończył w końcu czerwca.

W naszym obozie nie było przelania krwi, nie strzelali. U nas wyszło to jakoś spokojnie. Zabrali tylko tych, których uważali za przywódców, i było tam paru Polaków, między innymi Józef Skórp. Jedni mówili, że ich wywieźli gdzieś tam pod Krasnojarsk i że wyroki podostawali, różne były opowiadania. W obozie też nie było żadnych gwałtownych akcji z wyjątkiem tej segregacji.

Bunt przyjęto jako zwycięstwo: dostaliśmy pieniądze, zdjęli kraty, zdjęli numery - i właściwie mało osób ucierpiało (ucierpiało oczywiście, nie wiemy jaki był dalszy ich los, ale to byli niektórzy).

W 1954 roku były w obozie tzw. "przesady", "pieresudy", czyli rewizje wyroków. Przyjeżdżał sędzia, prokurator, wywoływali więźnia do świetlicy, dodatkowo przesłuchiwali i niektórych: "Od dzisiaj jesteś wolny" - zwalniali. Ale to nie był raczej skutek strajku, to był skutek polityki po śmierci Stalina. Za życia Stalina strajki skończyłyby się masakrą.

Nadal pracowałem w zaopatrzeniu kopalni aż do zwolnienia we wrześniu 1954 roku. Miałem wyjść 13 grudnia, bo tego dnia w 1944 roku aresztowali mnie, ale dostałem tzw. "zaczety", czyli zaliczenia. Tylko, że ja mało dostałem, kto pracował przy cięższych pracach, temu za jeden dzień pracy odliczali dwa dni z wyroku.

Przyszli i ogłosili, że "dzisiaj już do pracy nie idziesz, idziesz na zwolnienie". Dali świstek - opinia z pracy, nikomu nie pisali, że źle pracował, wszystkim, że dobrze - przywieźli na ulicę, wywalili. "Idź, gdzie chcesz."

Dobrze, że Staszek Matulewicz wcześniej wyszedł, to poszedłem do niego. On przyjął mnie; jak ja miałem już kąt, to brałem innych wychodzących z obozu. ~~Matulewicz~~ Po wyjściu z obozu zaprosił mnie i Matulewicza dyrektor kopalni do siebie. Spirytusu nastawiał, spoił nas "w drebiezgi". Pytał, jak jest w Polsce, opowiedzieliśmy. Ciekawiło go, jakie są warunki życia. On żył bardzo biednie, chociaż dyrektor kopalni. Opowiadał: "Dzisiaj jestem tu, a jutro każą jechać gdzie indziej. Takie to życie - stale z walizkami." To był bardzo porządny człowiek, nie zapomnę go do śmierci.

W styczniu 1955 roku na pogrzebie kolegi - sędzi z żoną torami, zabił go nadjeżdżający pociąg - poznałem moją żonę. Po dwóch tygodniach pobraliśmy się.

W czerwcu 1955 Polacy zaczęli sobie przekazywać: Jedźcie szybko, bo tam rejestrują na wyjazd do Polski. Pojechaliliśmy, zarejestrowaliśmy się, i koniec - ~~nie~~ wiedzieliśmy, że potem nie ma już żadnego połączenia,

koniec okresu nawigacji. Można się potem wydestać z Norylska tylko samolotem, a kto przypuszczał, że mogą samolotami tylu ludzi wywieźć..

Pewnego dnia wracaliśmy z żoną z kina i ja powiedziałem: Wiesz, a jakby nam tak powiedzieli: Jutro wyjeżdżacie do ~~Ruski~~ Polski. Żona się zaśmiała: Czyś ty zgłupiał, kto nas puści?... (Marzyliśmy o wyjeździe, ale przecież mieliśmy jeszcze 5 lat zesłania) Wybij to sobie z głowy.

Następnego dnia przychodzę do pracy, a tu wpada kolega Staszek Mironowicz i powiada: "Romek, wyjeżdżamy do Polski. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć, to idź do biura."

Przychodzę do biura - rzeczywiście, wisi wykaz osób, które mają być w ciągu trzech dni rozliczone na wyjazd do Polski. Ale patrzę: ja jestem na wykazie, ale żony nie ma! Strach! - co dalej robić? W biurze doradzili mi: Jedźcie do miasta do NKWD.

Przyjechaliśmy szybko - akurat jechał samochód do miasta - do szefa NKWD w Norylsku majora Charytonowa. Tłumaczymy, o co chodzi, zaczął wertować szpargały i dał żonie zaświadczenie, że ~~xxx~~ mają ~~xxx~~ w ciągu trzech dni rozliczyć ~~xxx~~ też żonę.

Rozliczyliśmy się, zabraliśmy rzeczy (co my tam mieliśmy?... ~~meble~~ meble, co tam zorganizowałem: stół, tapczan zostawiliśmy gospodarzowi; mebli przecież do samolotu nie zabierzemy) i na samolot. To był chyba 27 listopada.

Żona była w ciąży, więc wzięli nas na samolot pasażerski, ocieplany. Kawalerów wzięli do samolotów transportowych. Zmarzli tam biedacy!

Zanim dolecieliśmy do Krasnojarska, lądowaliśmy w Igarce i w Kamiennej Tunguzce. Raz wysiadło ogrzewanie, naprawiali ze dwie godziny

W Krasnojarsku rozlokowali nas w wagonach i sprowadzali ludzi z okolicznych obozów, szykowali transport. Byliśmy tam prawie 2 tygodnie. i ruszyliśmy do Polski.

Do Medyki przyjechaliśmy chyba 26 grudnia. Święta Bożego Narodzenia spędzaliśmy w wagonach, zatrzymaliśmy się tylko w Moskwie i we Lwowie. W Medyce wyładowali nas. Pocałowaliśmy ziemię.

Po powrocie do Polski najbardziej zdenerwowało mnie to, kiedy poszedłem starać się o mieszkanie i powiedzieli mi: Po coś ty tutaj przyjechał? Kto was tu wołał? A teraz chcecie mieszkania?... To mnie najwięcej bolało. Tak powiedział do mnie - pamiętam do dziś - taki Szmidt. Był przewodniczącym Miejskiej Rady narodowej w Bydgoszczy.

Potem był nim Maluciński, też mi tak powiedział, jak poszedłem do niego: Co, nie mogliście tam zostać?

Kiedy napisałem, starając się o pracę, że byłem w AK, to pracy nie dostałem i jeszcze mój brat miał nieprzyjemności. No i zrezygnowałem - nie podawałem już, że byłem w AK. Ale zawsze mówiono: Aha, on był zestany... Z tego powodu zawsze miałem kłody pod nogami.

Jeszcze w maju 1956 - wyszedłem na słońce, a zimno mi było. Słońce grzeje, a mi zimno.

Nie śniłem. Chyba tylko dwa razy - że idę po Norylsku, szukam mieszkania i nie mogę znaleźć. A tak - nie śnię i nie chcę śnić, ani rozmawiać o tym, bo kto tam nie był, ten nie rozumie. To trzeba przeżyć. I powiem szczerze - rodzina, z którą człowiek jest bardzo związany, nie rozumie mnie. I kiedy spotykamy się, koledzy i koleżanki "stamtąd" - to my jesteśmy jak rodzina.

W obozie nauczyłem się żyć. Co poza tym? Dobrego tam człowiek niczego nie widział, oprócz biedy i nieszczęścia. Osiem lat nie miałem w ustach mięsa ani mleka. Osiem lat to jest dużo.

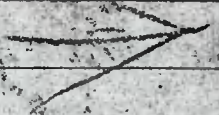
Został mi nawyk pracowitości. Lubię pracować i uczciwym być, to mi zostało. Współczuję ludziom. I wiem, że najstraszliwsze, co tylko może być - to być na obczyźnie.

Tylko teraz późno już. Nie ma czasu żyć...

~~Ваша сестра Рача~~!

Очень обидно дорогой брат
что мы все обижались на мать
что я для себя не пишу писем
незато что есть, недавно выехала
для себя два письма и свою
фотокамерку и не знаю ты научил
не знаю ты мы уже знаем
про наше горе, что я свое
жизну свою ~~_____~~

Не имеешь суда представляешь
что я переживала в последние
время так приходится трудно
что не знаясь жить оти мити
на свете. Жизнь одна, ничего не
имею, кроме дома, корову продали
на налоги; ~~_____~~



Брестская область
Ст. Ужгород № 2-10